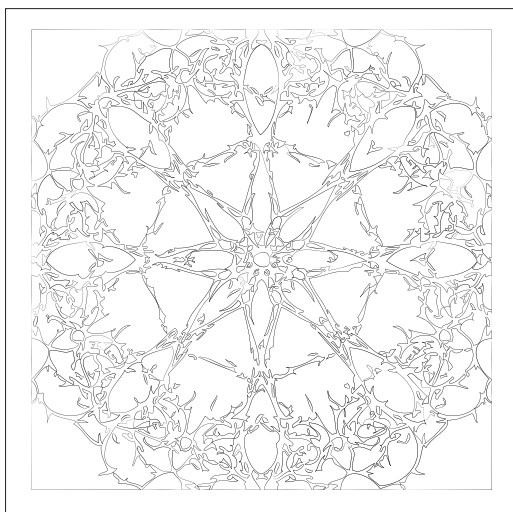


DUCH I EGZYSTENCJA

ŁUKASZ DARIUSZ MAKSYMILIAN WOŹNIAK

DUCH I EGZYSTENCJA



© Copyright by Wydawnictwo LIBRON & Łukasz Dariusz Maksymilian Woźniak
Kraków 2014

ISBN 978-83-64275-79-1

Recenzja

dr hab. Andrzej J. Nowak
dr hab. Janusz Mizera

Korekta

Aleksandra Jastrzębska

Projekt okładki, skład

Joanna Bizior

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji Studentów i Absolwentów
Uniwersytetu Jagiellońskiego „Bratniak”



Wydawnictwo LIBRON – Filip Lohner

al. Daszyńskiego 21/13

31-537 Kraków

tel. 12 628 05 12

e-mail: office@libron.pl

www.libron.pl

Spis treści

Słowo przedwstępne: Etyka transcendentálna?	9
Wprowadzenie	19
Podstawy Ontologii	23
Fenomenologia ZPDICS	45
<i>Episteme</i>	45
<i>Arete</i>	69
Dodatek – pojęć jaśnienie. Istnienie, Czucie, Bycie, Egzystencja, możliwa fenomenalność, Transcendencje Egzystencjalne	91

Mądrość otwiera Oczy z zamknięcia teorii.

Jakiś „naiwny” napis na blacie („Elfowie powrócą”).

Wizja Północy

– szara trawa, która jest zielona.

Ewelina Jamróż

To tylko wzgląd,

bezprzestrzenny.

Lśnienie Milczenia

Słowo przedwstępne: Etyka transcendentalna?

Pośród filozoficznych przestępców istotą z całą pewnością najbardziej niebezpieczną jest tzw. filozoficzny rzeźnik. Bronią jego jest tasak kategorii, napędza go szal filozoficznego „klamerkowania”. Rzeźnictwo tego rodzaju może przybrać zasadniczo dwie różne formy. Z jednej strony mamy metarzeźnictwo. Polega ono na brawurowym cięciu podług całej objętości filozoficznego uniwersum – w ten sposób tworzą się „humanistyka” oraz „nauki przyrodnicze”. Pierwszy z owych tworów poddany zostaje gruntownej deprecjacji – jest to bowiem „częstka” o konsystencji nader wątpliwej, ściekająca wszystkim tym, co dumnym naukowcom zda się kawiarnianą gadaniną. Brutalnie zgwałcona filozofia (która ze względu na samo swe miano zostaje umieszczona w wyżej opisanej dziedzinie tworów intelektualnie podejrzanych) przywdziewa wtedy szaty żebracze. Jej niegdyś szlachetni przedstawiciele, teraz upokorzeni, skomlą o łaskawe udzielenie im miana „naukowców” – wszystko to

zaś owoc tej właśnie straszliwej, dokonanej przez filozoficznych metarzeźników, denominacji.

Drugi rodzaj rzeźnictwa dokonuje się już w obrębie tworu powstałego z pierwszego uderzenia tasaka, gdy owi pretendenci do miana „naukowców” rozpoczynają porządkowanie swej dziedziny, by stała się nieco bardziej zgodna z paradygmatem metody „naukowej”. Tak oto tworzy się kolejne drzewko kategorii, gdzie każda „teoria” i każdy „badacz” ma z góry już przypisane miejsce. I oto drzewko nasze owocuje: zradzają się na nim rzesze epistemologów, ontologów i etyków, zaś każdy z nich smakuje nieco inaczej. Te subtelne słodczyce, kwaśności i gorycze – gęstwina wzajem rezonujących myśli – tworzą, zwłaszcza w dniach dzisiejszych, oryginalne pole „naukowej” dyskusji. W ten sposób filozofia przemienia się w narzędzie najbardziej bodaj w dziejach prymitywnej, religijnej propagandy.

Relegere, to ponowne wybieranie i związywanie, może być zrodzeniem wynikającym z dwóch, mogłoby się wydawać, różnych „przesunięć” myśli. Ta jednak pozorna dualność ma swe podłoże w rozdźwięku subtelności wspomnianych „przesunięć”, nie zaś w ich wspólnym, używając nieco ironicznej kalki z Kanta, korzeniu, którym jest głęboko osadzony w naszym tu-oto-rozumieniu mit referencji.

Pierwsze, mniej subtelne, „przesunięcie” wiąże się bezpośrednio z omawianym przeze mnie na początku

rzeźnictwem – jednakże nie tylko z nim, co łatwo będzie wykazać. Mówiąc najprościej, mam tutaj na myśli wszelką fenomenalistyczną redukcję. Może ona przebiegać dwojako. W najdrastyczniejszej wersji jest ona bezpośrednio związana z dogmatyką tzw. nauk przyrodniczych, czyli wprost stawia się w pozycji narzędzia religijnej indoktrynacji. Stanowi to najbardziej niesmaczny z możliwych substytutów filozofii; uwaga „naukowca” (zwanego również „analitykiem”) koncentruje się na bohaterskim pokonywaniu trudności nieznanych żadnemu innemu dyskursowi filozoficznemu. Dzięki językowym szaradom i dzieleniu kota na tysiąc przy użyciu jego własnego owłosienia „naukowcy” uzyskują nie tylko możliwość intelektualnego, lecz również materialnego (w potocznym tych pojęć rozumieniu) ubogacenia.

Drugi sposób fenomenalistycznej redukcji (którą w mojej najnowszej, powstającej dopiero pracy określiam ontologiczną fundamentalizacją rozumienia chronopsychologicznego) wiąże się bezpośrednio z tradycyjnym (pochodzącym od Arystotelesa) sposobem ujmowania czasowości (chronologiczność, ciągle następstwo kolejnych „teraz”) i tym, co współwarunkuje tego rodzaju ujęcie, czyli rozumieniem przedstawień jako rzeczywistości (rzeczy-w-istności), nie zaś jako przedmiotowości (przed-rzucania). Rzecz to nic innego jak to, co „jest rzeczony”. Tyle że

jako „rzeczone-w-istności” jest w pewien sposób ekstrapolowane; ponieważ pozostaje pierwotnie „w istności” i dopiero będąc tam, może zostać „rzeczone”, sugeruje się, że musi zatem być „orzekane”. Jest to poniekąd zgodne z tzw. „zdrowym rozsądkiem”, jednak intuicja ta niekoniecznie musi być właściwa. Można bowiem zauważyć, że sama „istność” nie musi być z konieczności ujmowana jako „będąca wobec” (mowa o relacji epistemicznej), lecz można ją określić jako „pozostającą z” – wtedy zaś nie **jest** orzekana, lecz **pozostaje** rzeczona. Abstrahując jednakże od tej możliwości, zwolennicy tzw. klasycznych stanowisk metafizycznych, którzy również znaleźli ostatnio bezpieczne schronienie pośród naukowców-rzeźników, ujmują rzeczywistość jako orzekaną i co za tym idzie – zsubstancjalizowaną. Mamy więc dzięki poletko pełne bytów, powszechniki (lub nie) oraz dużo dobrej zabawy przy układaniu tych onto-puzzli.

Drugi rodzaj „przesunięcia” myśli jest zdecydowanie subtelniejszy, a co gorsza daje, o czym sam mogłem się przekonać, sporą intelektualną satysfakcję. Generowana przezeń „religijność” również przybiera zupełnie inny charakter. Mit referencji w *relegere* pierwszego rodzaju podawany jest nam wprost, jego dziećmi są wielkie systemy etyczne. W przypadku redukcji dogmatycznej mamy do czynienia z tzw. moralnością dla mas, idolatrią pewnego rodzaju fenomenalności.

Owoce subtelniejszych stanowisk klasycznej metafizyki jest etyka „elit intelektualnych”, pozostająca pod czułą opieką „boga filozofów” – który ostatecznie nie różni się niczym szczególnym od bożków tłumu. Czym jednak jest „przesunięcie” myśli typu drugiego?

Właśnie ten problem stanowił jedną z głównych motywacji, które pchnęły mnie, niemalże w rok po ukończeniu *Areté* i trzy miesiące po wzbogaceniu całości traktatu o *Dodatek – pojęć jaśnienie*, do dodania tego oto słowa przedwstępnego. Drugą była chęć „złagodzenia” mojego, utrzymanego w iście hamanowskiej stylistyce, wprowadzenia (zarzut – o ile coś takiego w ogóle można określić tym mianem – który można by wysunąć niemalże w stosunku do całości mojego traktatu), trzecia zaś jest tak boleśnie niemerytoryczna, że nie zamierzam o niej ni słowem więcej wspominać.

Tak więc ostatni demon dualistyczny, siedliszce mitu referencji, tkwi w tym, co Johann Georg Hamann określił jako „puryzm czystego rozumu”, czyli w idolatrii wyabstrahowanych form transcendentalnych – z tego zrada się zaś pewnego rodzaju indywidualistyczna (nie zaś indywidualowa) religia ludzi genialnych, kult Absurdu. W swej nieostrożności może nie tyle zbliżyłem się do tegoż właśnie, co wypowiadając się na temat dzieła, którego tyczy się to słowo przedwstępne, mogłem pchnąć niektórych

jego czytelników w tę właśnie stronę. Wszystko to zaś przez tytuł pierwszej części traktatu – czyli *Podstawy Ontologii* – wynikający z tychże, nie będę przeczył, również we mnie samym głęboko zakorzenionych, referencjonistycznych przyzwyczajzeń. Ostatecznie bowiem *Duch i Egzystencja* stanowi wezwanie **ku przewyciężaniu wszystkich sensów**.

Ostatnie zdanie powyższego akapitu może brzmieć nieco podejrzanie dla wszelkiej maści „naukowych” uszu; zda się w nim słyszeć obecność czegoś, co nawet dla średnio wytresowanego (a może zwłaszcza takiego) zwierzęcia kulturalnego mogłoby być określane przez przymiotnik „metafizyczne”. Jest to podejrzenie słuszne o tyle, o ile „metafizyczne” jest samo przewyciężanie jako wychodzenie poza. Jeśli zaś chodzi o prowadzone przeze mnie „badanie” (co jest, podkreślam, terminem daleko niewłaściwym), to jako przedłożone ku przewyciężaniu, nie może mieć ono nic wspólnego z metafizyczną dualnością, zawsze w jakimś stopniu obecną czy to w klasycznych nurtach filozoficznych (nie wykluczając spośród nich również systemów idealizmu transcendentálnego), czy we współczesnym rzeźnictwie.

Pierwsza część traktatu, *Podstawy Ontologii*, spisywana była przeze mnie w tym już stosunkowo odległym okresie, gdy umysł mój był niemalże zupełnie wolny od skażenia tzw. filozoficzną tradycją.

Ustrzegło mnie to, być może, przed poważniejszymi „przesunięciami” myśli, gdyż już w pierwszych rozdziałach (wielokrotnie deklarując to w samym tekście lub dołączonych doń przypisach) zachowywałem ostrożność i starałem się nie dopuścić do tej, jakże groźnej, fetyszyzacji moich własnych pojęć. Wszystko bowiem sprowadza się, jak sam to określiłem, do „prawdy Języka” – nie znaczy to jednak, że i ja sam nie ulegałem różnego rodzaju złudzeniom, z których największym mogła być sama ontologia i owo, wspomинane już na początku, ontologiczne „badanie”. Największe niebezpieczeństwo przywołwanego „puryzmu” zawisło nade mną wtedy, gdy ze świętym przekonaniem o słuszności moich wywodów prezentowałem „modelową” Zasadę Porządku. Miało to iście nieprzyjemny posmak, zaś ze wszech stron wyglądała mnie groźba w krok postępującej substancjalizacji i – co za tym z konieczności podąża – powrotu mitu referencji. Wszystko jednakże uratowane zostało przez Matematykę, która stała mi się współzycielką w części *Episteme*, sama przez się, jako wielki czynnik syntetyczny, stanowiący usprawiedliwienie zarówno dla dokonanych już, jak i tych, które miały się dopiero dokonać w *Areté*, abstrakcji. I dopiero ta ostatnia część mogła stanowić właściwe usprawiedliwienie popełnienia przeze mnie tego traktatu, jak również ostateczną ochronę

przed groźbą ontologii egzystencjalnej, najbardziej przebiegłego w swym utajeniu transcendentalnego „puryzmu”, wyistaczającego bóstwo Absurdu.

Absurd jako „zasada” zrada się bezpośrednio z wyabstrahowanych, czystych form transcendentalnych, które same w sobie są „niczym”. Tak przychodzi na świat (określenie to jest aż nadto właściwe) szlachetna religia genialnych pólsamobójców i ich arcydoniosłej bezzasadności, owocująca morzem niemożności. Akt referencji względem „nicości”, który wprost prowadzi do umiłowania Kaliguli – jednakże w „sam raz” jedynie. Ducha tej religii najlepiej chyba oddaje zarzut, który miałem okazję usłyszeć wobec nieskromnej mej osoby z ust jej najwybitniejszej akolitki (dwuznaczność celowa). Persona ta, w czas jakiś już po przeczytaniu tego obarczanego właśnie teraz przeze mnie słowem przedwstępnym traktatu, uraczyła mnie pełnym oburzenia osądem: „Ty nie żyjesz tak, jak piszesz!”. Negacja esencji jako ośrodkująca nowego esencjalizmu – tego w moim traktacie odnaleźć się po prostu nie da. Istota działań egzystencjalnych ontologów, czcicieli Absurdu, to ciągle zmienianie masek, dzikie negowanie każdego swojego kroku. Ostatecznie jest to zabawa, przynajmniej dla mnie, nazbyt nużąca.

Cóż pozostanie, jeżeli odrzucimy nawet religię Absurdu? Czy etyka transcendentalna? Ale przecież

i tego rodzaju nominacja niesie ze sobą groźbę dwuznaczności. Problem stanowi sam termin „transcendentalna” – pojmowanie tak określonej etyki jako „warunkującej możliwość poznania” prowadziłyby bowiem do kolejnego odniesienia. Gdyby jednak termin „transcendentalna” rozumieć jako „umożliwiająca poznawanie”, mamy już sytuację daleko inną. Etyka transcendentalna to wtedy nic innego, jak „samoumożliwiająca siebie relacyjna możliwość”, a więc „umożliwiająca się wykraczanie”.

Warto w tym momencie raz jeszcze odnieść się do mojego wprowadzenia. Mówię tam o tym, co uznawałem w początkach za założenie – o nietożsamości pomiędzy Czuciem siebie Istnienia a Istnieniem Czującym siebie; o tym, co w *Dodatku* – *pojęć jaśnieniu* określiłem jako z jednej strony „zasadność”, a z drugiej „uzasadnianie”. To, co określiłem jako „wersja solipsystyczna”, i w ogóle samo pojęcie założenia jako takie stanowią jedynie pogłos mitów Języka, na których temat aż nadto się tutaj wypowiedziałem. Pogodzenie z każdym ze swoich Słów – tego żądamy od siebie, ku naszej Mądrości. Godząc siebie Językiem, możemy odmieniać pozbawioną wszelkiego „puryzmu” Matematykę.

Wszystko ostatecznie skłania się ku przewyciężaniu, nie zaś (jak chcieliby czciciele Absurdu) ku nieskończonym przewyciężeniom. Samoprzewyciężające

siebie umiłowanie Języka prowadzi nas ku tej Miłości,
która zarazem czyni się właściwą ucieczką z niewoli
wielokrotnionych Słów. To zwraca mnie, Ciebie, ku
przewyciężaniu wszystkich sensów. Ku powoływaniu
Szczęśliwości.